STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA KRAKÓW
www.spp-krakow.org

QUOD LIBET

ISSN-1897- 4856

Nr 08/2012
82

TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE – OMNE RARUM EST CARUM * TOLLE LEGE

NASZYM CZYTELNIKOM
CZŁONKOM
SYMPATYKOM
I PRZYJACIOŁOM

MIŁYCH ŚWIĄT
I POMYŚLNEGO
NOWEGO ROKU

ŻYCZY –
REDAKCJA

W numerze



EPOKA ŻELAZA W EUROPIE

Michał Tadeusz ***Kozera***

W poprzednim odcinku dotarliśmy z opisem do V wieku naszej ery w Europie. Czas na ciąg dalszy. Zatem: - część V

AWAROWIE

Kolejnym ludem w Europie, który przybył ze wschodu, byli Awarowie. Był to pierwszy naród pochodzenia tureckiego, jaki pojawił się w Europie. Przywędrowali oni z terenów Azji położonych na północ od pustyni Gobi i gór Tien-Szan. Odbyli oni tą samą trasę, co inne narody wcześniej – czyli stepami na północ od Morza Kaspijskiego i Morza Czarnego docierając do dolnego Dunaju. Potem wzdłuż tej rzeki dotarli do miejsca gdzie wpada rzeka Cisa i tam osiedlili się. Stało się to w VI wieku n.e. Za ich datę przybycia przyjmuje się 566 rok n.e.

Do ich przybycia w środkowej Europie zaszły pewne zmiany. Po śmierci Attyli…

Tu mała ciekawostka. Do dzisiaj nie wiadomo, gdzie został on pochowany. Krążą mityczne opowieści o skarbach zakopanych wraz z nim.

Jedna z takich historii pochodzi z 1932 roku. Wówczas grupa cwaniaków wskazała zamek Aurolműnsler nad rzeką Cisą jako jedno z takich miejsc pochówku Attyłi. Naciągnięto na pieniądze wiele sław ówczesnych Niemiec, w tym: eks kajzera Wilhelma II, księcia bawarskiego Ruprechta, opata prymasa Petrusa Klotz'a z Salzburga, biskupa Wartz'a z Feldkirch a nawet Adolfa Hitlera. W grę wchodziły kwoty wielu milionów ówczesnych marek niemieckich (z pieniędzy NSDAP przekazano kwotę w wysokości jednego miliona!!). O całej aferze można dowiedzieć się z niewielkiej książeczki jednego z twórców pomysłu oszustwa. Przy czym większość nakładu została wykupiona i zniszczona przez ludzi Adolfa Hitlera. Był to przecież okres, gdy dochodził on do władzy, a taki skandal nie był mu wcale na rękę.

…na zajmowanych przez jego naród terenach pojawili się ponownie Germanie. Wiemy na pewno, że obszary nad środkowym Dunajem zajęli Longobardowie, a między rzekami: Cisą, Dunajem i Maruszą germańscy Gepidowie *(patrz rys. nr 9)*. Niejasna jest kwestia terenów nad Odrą i Wisłą oraz Dnieprem. Czy także tutaj powróciły plemiona germańskie?

Jak na złość badania archeologiczne zwykle „kończą się” na V wieku naszej ery. Tymczasem okazuje się, że najciekawszym dla osadnictwa Słowian byłby okres od V do VIII wieku naszej ery. Dotyczy to również ewentualnych innych grup osadniczych, w tym germańskich czy sarmackich. Bez względu na ewentualny wydźwięk polityczny.

Dlatego w dalszych analizach muszę trochę „krążyć” w ciemności. A przynajmniej w gęstej mgle.

Awarowie dotarli w swojej wędrówce do terenów położonych między Cisą, a rzeką Maruszą i rzeką Dunaj. Zatrzymali się dokładnie tam, gdzie wcześniej swoją siedzibę założyli Hunowie. Przypomnijmy, że w tym terenie leży między innymi Siedmiogród, gdzie od dawna pozyskiwano chociażby złoto, srebro i na pewno żelazo. Metale niezbędne do zaistnienia w tamtych czasach jakiegokolwiek nowego organizmu państwowego.

Wszystko wskazuje na to, że wraz z nimi – lub trochę później – przywędrowali z nimi Słowianie. Zajęli teren zamieszkiwany przez Longobardów (obszar na południe od środkowego Dunaju po Góry Dynarskie, bo teren między Górami Dynarskimi a Morzem Adriatyckim przejęło Cesarstwo Wschodniorzymskie – przyp. M. K.). Ci ostatni wyprowadzili się z tego terenu w 568 roku i przenieśli swoje siedziby do Italii zajmując większość Półwyspu Apenińskiego (z wyjątkiem obszaru Państwa Kościelnego rozlokowanego w sąsiedztwie Rzymu).

Z analiz źródeł pisanych wynika, że Słowianie musieli pojawić się przed 603 rokiem. Wtedy bowiem kolejna fala plemion tureckich dotarła do Europy. Byli to tak zwani Protobułgarzy. Na pewno pokonali Alanów (plemię zaliczane do Sarmatów – przyp. M. K.), którzy mieli siedziby między Morzem Czarnym a Morzem Kaspijskim, Górami Kaukaz i rzekami Wołga i Dońcem. Słowianie byli w tym czasie osiedleni nad rzeką Wołgą i rzeką Kamą. Albo powędrowali jeszcze z Awarami, jako wojska pomocnicze, albo wywędrowali z nad rzeki Kamy przed 603 rokiem, przed pojawieniem się nowej fali plemion tureckich – czyli Protobułgarów.

Na te niejasności może kiedyś odpowiedzą badania archeologiczne terenów położonych między Kamą a Wołgą.

Istnieje też możliwość, że wykorzystali moment przejścia wojsk Awarskich i ruszyli za nimi. Przy czym jedna grupa mogła osiedlić się na terenach

między dolnym Prutem a dolnym Dnieprem, a druga dotarła aż nad środkowy Dunaj, od jego południowej strony. Nie wydaje się jednak, aby ta wersja ostatnia była prawdziwa bez zgody samych Awarów. Może archeolodzy znajdą kiedyś jednoznaczną odpowiedź?

Bo trudno uwierzyć, aby Słowianie zaliczali się do narodowości tureckiej. I byli jednym z plemion tej nacji.

Należy również wspomnieć, że Cesarstwo Wschodniorzymskie zajęło tereny między Górami Dynarskimi a Morzem Adriatyckim za panowania cesarza Justyniana (zmarł w 565 roku). A było to na trzy lata przed wędrówką Longobardów do nowych siedzib w Italii. Może na północ od Gór Dynarskich byli już Słowianie (przed 565 rokiem)?

To jednak wydaje się nieprawdopodobne, bo w tym miejscu siedzibę miały plemiona germańskie, z którymi Cesarstwo Wschodniorzymskie wolało nie zadzierać.

Zatem możemy wstępnie przyjąć, że **Słowianie na tereny dawnej Pannoni i okolic (na południe od środkowego Dunaju) przywędrowali między 568 a 603 rokiem.**

Dodajmy do tego kolejne fakty. Awarowie w 626 roku zaatakowali Cesarstwo Wschodniorzymskie i dotarli aż do Konstantynopola (obecnie Stambuł). Wówczas cesarz wschodniorzymski Herakliusz zwrócił się do Słowian w 634 roku, aby osiedlali się na terenach położonych między Awarami a jego cesarstwem. Najpewniej oddał im ziemie nad dolnym Dunajem, po jego południowej stronie. Spodziewał się, że zapewnią mu bezpieczeństwo przed dalszymi atakami Awarów. Było to tym ważniejsze, że pojawiło się nowe zagrożenie dla Cesarstwa. Byli to Arabowie, którzy coraz intensywniej napierali na Europę.

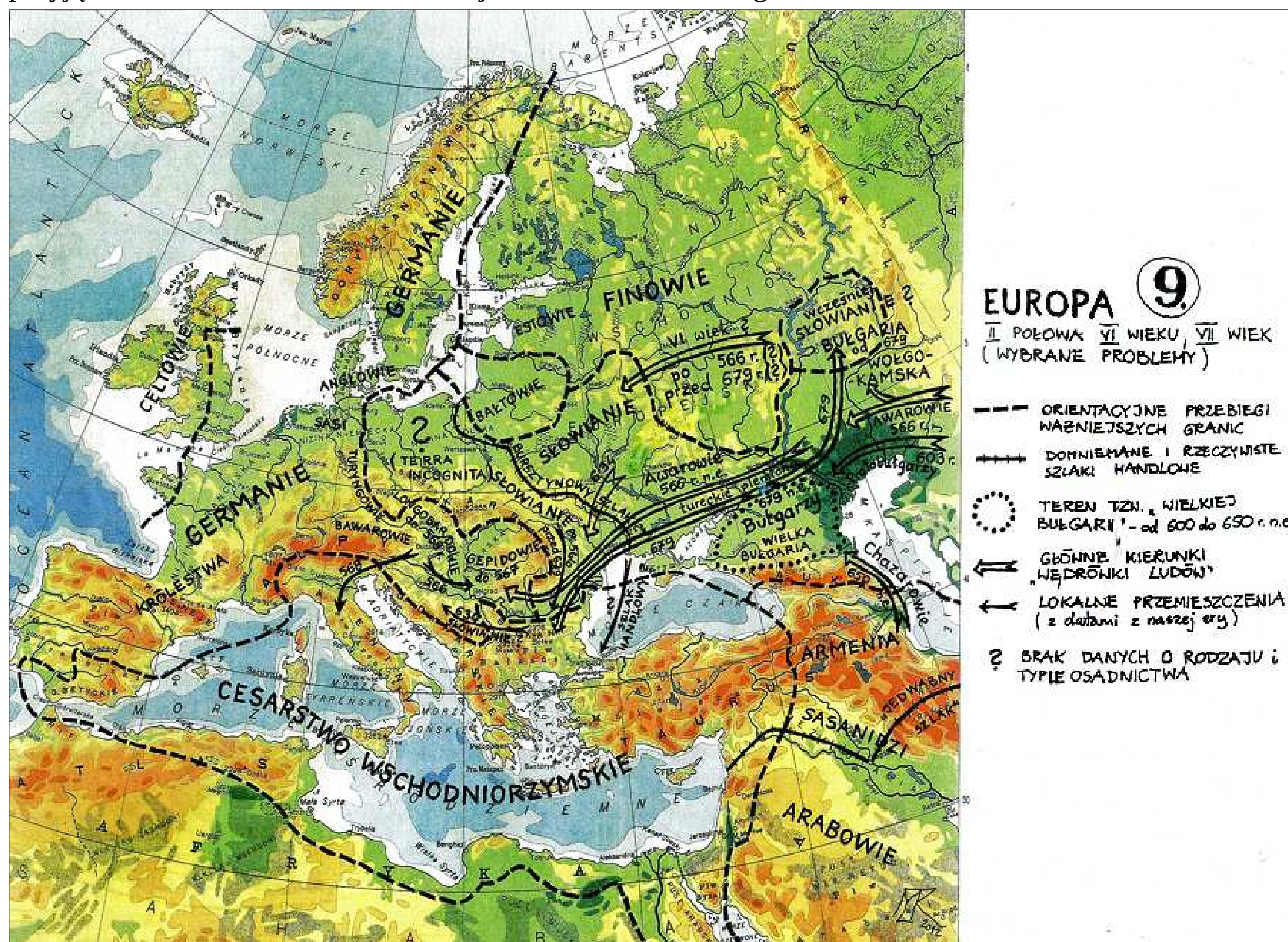
Awarowie także mogli zmienić kierunek swoich ataków. Rozpoczęli najazdy na zachód docierając aż do Turyngii. W końcu założyli chaganat awarski – w dorzeczu rzeki Cisy i Dunaju. Przetrwał on do najazdu Karola Wielkiego, który w latach 791-796 ich pokonał. Ostatnie wzmianki o Awarach pochodzą z 822 roku z czasów jego syna Pepina. Tym razem w walkach przeciwko Awarom uczestniczyli nawet Słowianie. Taki paradoks historii.

A może część Awarów wywędrowała do Azji?

Przypomnijmy, że na północ od gór Tien Szan i pustyni Gobi powstały dwa chanaty: wschodnioturecki i zachodnioturecki *(patrz rys. nr 11)*. Toczyły one regularne wojny z Chinami popadając nawet w zależność od tych ostatnich. Istnienie tych chanatów przypada na lata 630-744 (w formie zależnej od Chin i niezależnej). Zatem pojawiły się później niż chaganat Awarów w Europie, a upadły wcześniej. Może centrum najstarszych ziem tureckich leżało gdzieś w połowie drogi w środkowej Azji?

Nie jestem w stanie jednoznacznie rozstrzygnąć tego problemu. Zostawiam go dla innych badaczy.

cdn.

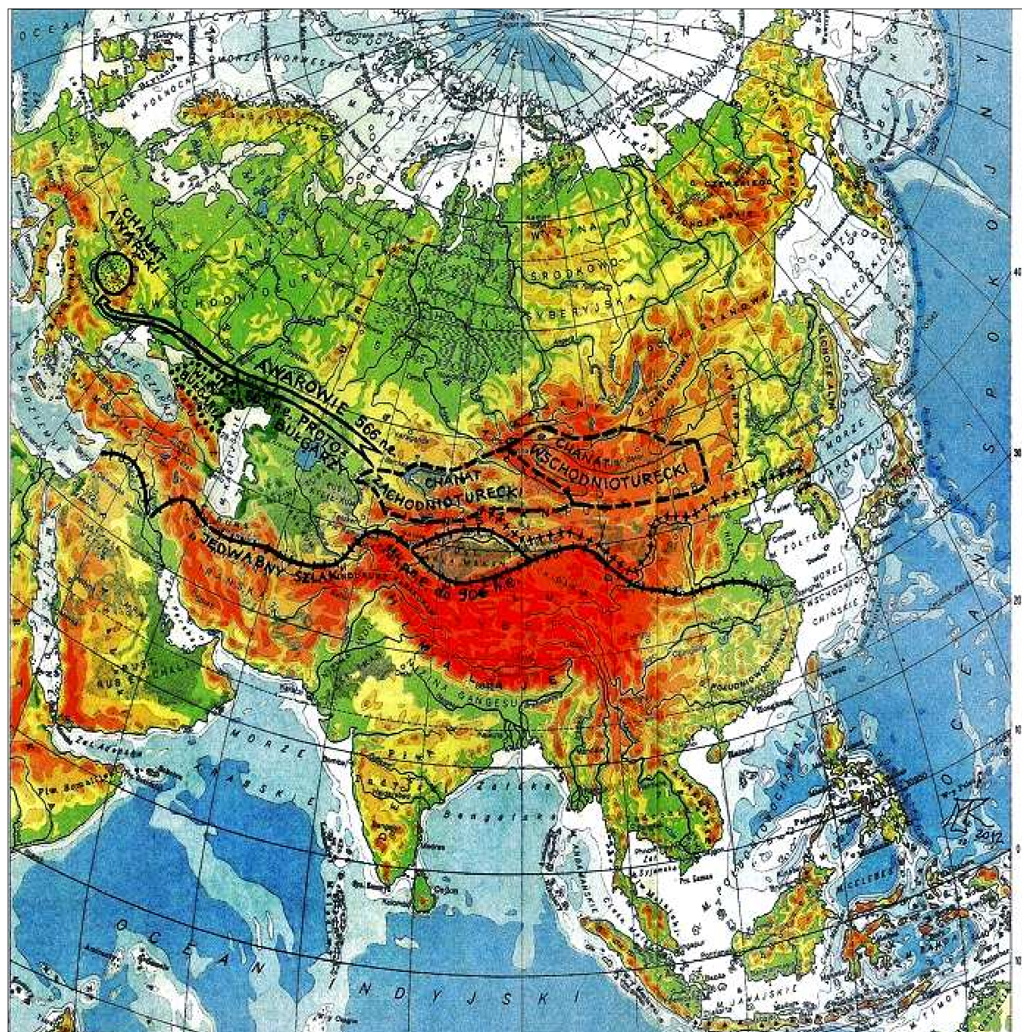




10.

EUROPA
w II połowie VII wieku
i I połowie VIII wieku

- NAJSTARSZE SIEDZIBY AWARÓW – od 566 r.
- MAKSYMALNY ZASIĘG PAŃSTWA AWARÓW – do 822 r.
- SŁOWIANIE (litera S.) BUŁGARZY (litera B.)
- DOMNIEMANE PAŃSTWO SAMONA
- GRANICE PAŃSTW WG POCHODZENIA LUDNOŚCI
- WAŻNIEJSZE MIGRACJE
- INNE PRZEMIESZCZENIA LUDNOŚCI
  CH. CHAZAROWIE
  A. ARABOWIE
  S. SŁOWIANIE
  AW. AWAROWIE
- SZLAK HANDLOWY (?) DOMNIEMANY
- OBSZARY ZAJĘTE PRZEZ LONGOBARDÓW W CESARSTWIE WSCHODNIORZYMSKIM



11.

AZJA
POŁOWA VI WIEKU
do połowa VIII WIEKU
(WYBRANE DANE)

- CHANATY TURECKIE: od 552 r. do 744 r. n.e.:
  a) WSCHODNI:
  - 630–682 pod panowaniem chińskiej dynastii Tang,
  - 682–744 niezależny kraj,
  - po 745 Państwo Ujgurskie

  b) ZACHODNI:
  - 658–704 pod panowaniem chińskiej dynastii
  - 704–740 niezależny kraj
- CHANAT AWARSKI od 566 do 822 r. n.e. (796 r. PODBITY PRZEZ KAROLA WLK.)
- „WIELKA BUŁGARIA” od 603 do 650 r. n.e.
- „JEDWABNY SZLAK” od 114 p.n.e. do 906 n.e.
- WIELKI MUR CHIŃSKI dynastia Ciu: 221–207 p.n.e.

REKONSTRUKCJA STAREJ SYNAGOGI W PRZEMYŚLU – *część I*

Michał Tadeusz Kozera

Analizując szereg różnych, najstarszych zabytków Przemyśla zwróciłem również uwagę na Synagogę Starą. Nie znalazłem nigdzie jej rekonstrukcji. Zatem postanowiłem wypełnić tę lukę. Stąd:

W realizacji tego zadania pomogła mi przede wszystkim publikacja Muzeum Narodowego Ziemi Przemyskiej „Zaginiony Świat, historia Żydów Przemyskich", której autorem jest Jacek Błoński (Przemyśl, 2008 rok).

W książce tej są wspaniałe zdjęcia – między innymi – z początku XX wieku, które pokazują Synagogę Starą przed jej wyburzeniem w 1956 roku i przed jej zniszczeniem w 1941 roku. Na dodatek pokazują one tę synagogę zarówno z zewnątrz jak i z wewnątrz. I do tego w różnych ujęciach. Pozwala to podjąć próbę rekonstrukcji posiadającej bardzo dużą poprawność. Przy czym – zamieszczony w tej książce – komentarz Jacka Błońskiego przynosi również szereg dodatkowych, ciekawych wiadomości. Okażą się one bardzo pomocne przy rekonstrukcji.

* * *

Bezcennym dokumentem do rekonstrukcji okazała się przede wszystkim zgoda kapituły biskupiej w Przemyślu na jej wybudowanie – z 1592 roku. Takie wówczas były procedury. O powstaniu obiektu żydowskiego kultu religijnego decydowały lokalne władze kościoła rzymsko-katolickiego. Tak stanowiło prawo.

Przytoczmy zatem tę zgodę w całości (z zachowaniem oryginalnej pisowni z tamtych czasów):

„Wawrzyniec Goślicki, z łaski Bożej biskup przemyski, wszem wobec komu należy oznajmujemy, iż pokazali przed nami niewierni Żydowie przemyscy prawo na pewny plac w mieście przemyskim u kapituły przemyskiej za pewnym czynszem kupiony i zapłacony i owo kupno przez przodka naszego sławnej pamięci księdza Walentego Herburta poczynione było [...] i tym listem pozwalamy, aby na tem miejscu, gdzie jest zbudowana szkoła albo bożnica żydowska drewniana; mogła być zbudowana tą jednak kondycją, aby ta przyrzeczona bożnica nie była wystawna albo jakim wyniosłem budowaniem wymurowana, aby wysokość murów od ziemi zwierzchowej z ulicy nie była wyższa jeno łokci dwadzieścia. A jeśliby dla proporcji sklepu wewnątrz tego było potrzeba, iżby paniment zniżyć mieli, tedy na dwa albo trzy łokcie mogą wybrać ziemię; wewnątrz szerokości bożnicy od muru do muru wewnątrz, ma być na łokci dwadzieścia, długość wszystkiej wewnątrz na trzydzieści łokci. Dachy aby nie były wystawne, ale niskie po włosku z rynnami, około których dachów żeby dla lepszego bezpieczeństwa od ognia był 1 raniec murowany, za którymi to kondygnacjami baczymy, że to pozwolenie nasze nie jest przeciw pozwoleniu synodalskimi". (tekst z książki: Mojżesz Schorr, „Żydzi w Przemyślu do końca XVIII wieku", Lwów, 1908 rok).

Tekst może być dla niektórych czytelników skomplikowany. Zatem spróbuję jego najważniejsze tezy przełożyć na język współczesny.

Do 1592 roku – na jednej z działek w Przemyślu – stała drewniana synagoga pełniąca również rolę szkoły podstawowej dla dzieci żydowskich. We wspomnianym roku Żydzi uzyskali od władz biskupich w Przemyślu zgodę (taka w XVI wieku obowiązywała zasada prawna: o budowaniu za zgodą kościoła rzymsko-katolickiego – przyp. M. K.) na wykonanie murowanej synagogi (tu zwanej bożnicą, co jest dla Żydów po prawdzie nazwą obraźliwą, ale nie mają wpływu na nazewnictwo chrześcijańskie). Ustalono bardzo precyzyjnie wielkość tej synagogi. W rzucie ma mieć 20 na 30 łokci (podejrzewam, że chodzi o łokcie krakowskie – przyp. M. K.). Natomiast wysokości winna mieć: 20 łokci licząc od ziemi i 22-23 łokcie licząc po wewnętrznej stronie – od podłogi do stropu lub sklepienia.

Z kolei dach ma być wykonany w stylu włoskim (chodzi najprawdopodobniej o attykę z dachem pogrążonym, typowym rozwiązaniem dla budynków w tamtych czasach – patrz rekonstrukcja przemyskiego ratusza w Quod Libet nr 81). Takie rozwiązanie dachu dodatkowo zabezpieczało budynek przed pożarami, które często wtedy występowały (znaczna część zabudowy

w mieście była drewniana – uwaga M. K.).

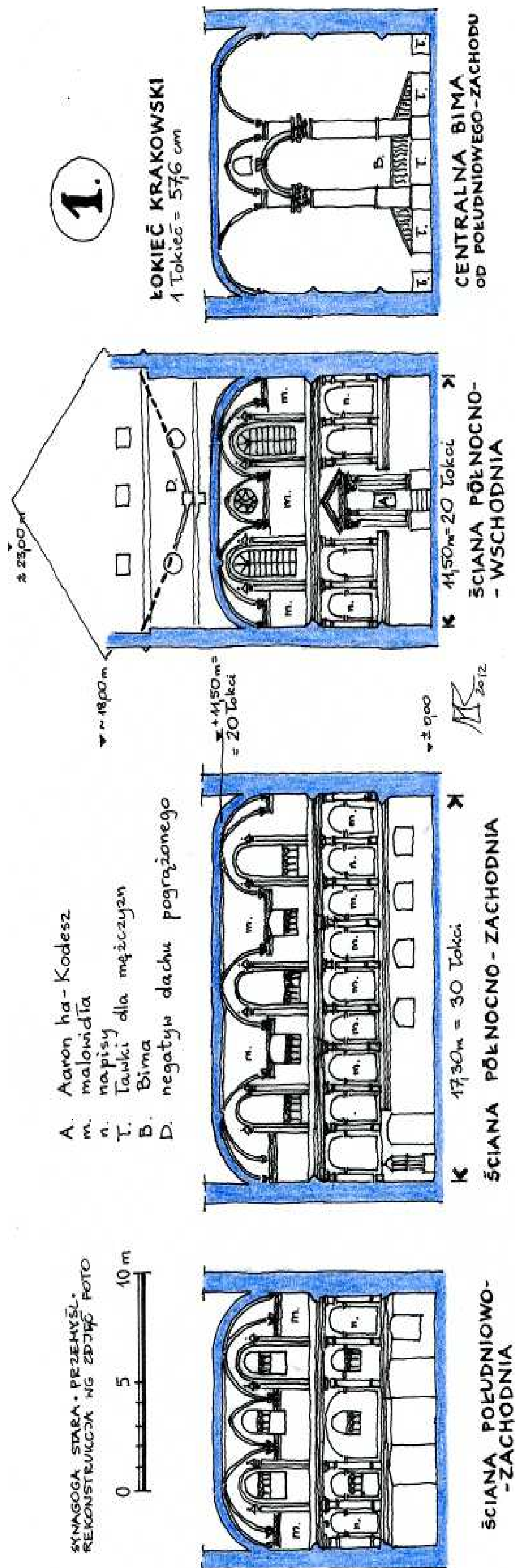
Zalecono również Żydom, aby synagoga była „mało dekoracyjna”. To nieprecyzyjne określenie wskazuje, że dekoracja attyki nie powinna stanowić konkurencji dla innych budynków – jak chociażby ratusz czy kościoły obrządku łacińskiego – uwaga M. K.). Takie ukształtowanie obiektu wynikało z zaleceń Synodu Biskupów w Rzymie. Tam precyzyjnie ustalono wszelkie parametry dla nowo wznoszonych obiektów niechrześcijańskich, budowanych na terenach zdominowanych przez kościół łaciński. Nawiasem mówiąc – dla kościołów chrześcijańskich także wyznaczono precyzyjne reguły budowania.

* * *

Wystarczyło teraz porównać przedstawione wymiary ze zgody biskupiej ze zdjęciami fotograficznymi synagogi z początku XX wieku. Dach tej ostatniej wskazywał, że synagoga jest wykonana w proporcji długości do szerokości jako 3 do 2. Czyli, jak kto woli: 30 do 20. Zatem podane w piśmie – z 1592 roku – wymiary zostały najprawdopodobniej spełnione.

Teraz sprawa była już stosunkowo prosta. Przy czym trzeba dodać, że znamy wymiar łokcia krakowskiego. To 57,60 cm – w miarach obecnych. Zatem poszczególne wymiary z ugody wynoszą: 20 łokci to 11,52 metra, 30 łokci to 17,28 metra, 22 łokcie to 12,67 metra, a 23 łokcie to 13,25 metra.

Dalsze działania rekonstrukcyjne potoczyły się szybko. Dokonując szczegółowej analizy zdjęć fotograficznych z początku XX wieku (i nie tylko, bo zdjęcia zniszczonej synagogi także dały szereg interesujących informacji – uwaga M. K.) można było dokonać rekonstrukcji przynajmniej trzech ścian wewnętrznych synagogi: południowo-zachodniej, północno-zachodniej i północno-wschodniej. Na dodatek odtworzono wygląd jednej ze ścian bimy (jest to budowla stojąca we wnętrzu synagogi, która jest przeznaczona do czytania pisma świętego i do wykonywania innych obrzędów związanych z religią żydowską – zainteresowanych większą ilością szczegółów odsyłam do książki Jacka Błońskiego). Czwarta ze ścian nie została zrekonstruowana, bo jest podobna do pozostałych. Przy czym jest prostsza, bo nie ma w niej otworów do innych pomieszczeń przeznaczonych dla kobiet (w religii żydowskiej w tamtych czasach kobiety nie miały wstępu do głównej sali modlitwy, która była przeznaczona tylko dla mężczyzn i młodzieży męskiej od 13 roku życia – o szczegóły



ponownie odsyłam do książki Jacka Błońskiego).

Wszystkie te zrekonstruowane ściany i bimę pokazano na rysunku nr 1.

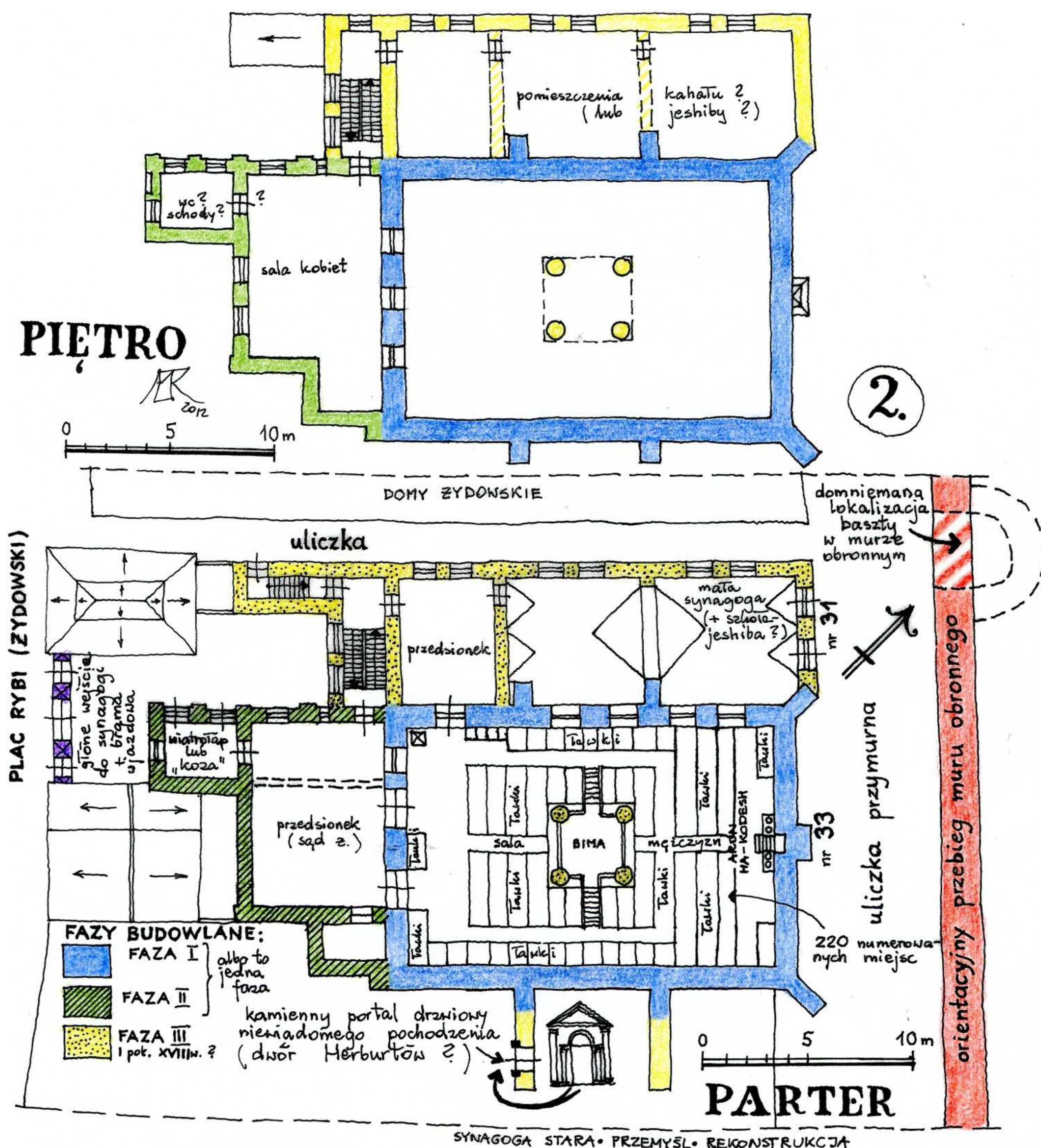
W pierwszym momencie – po wykonaniu rysunków – podejrzewałem, że popełniłem błąd przy rysowaniu. Albowiem otwory okienne do sal dla kobiet w obu ścianach (południowo-zachodniej i północno-zachodniej) były na różnych wysokościach. A tym samym stropy były na innych wysokościach. Po sprawdzeniu okazało się, że nie ma żadnej pomyłki. Zatem należało podejrzewać, że sale dla kobiet są położone na poziomach różniących się w wysokości o połowę wysokości względem siebie. To dało sygnał do takiego zrekonstruowania schodów, aby pozwalały prawidłowo rozwiązać ten system komunikacyjny.

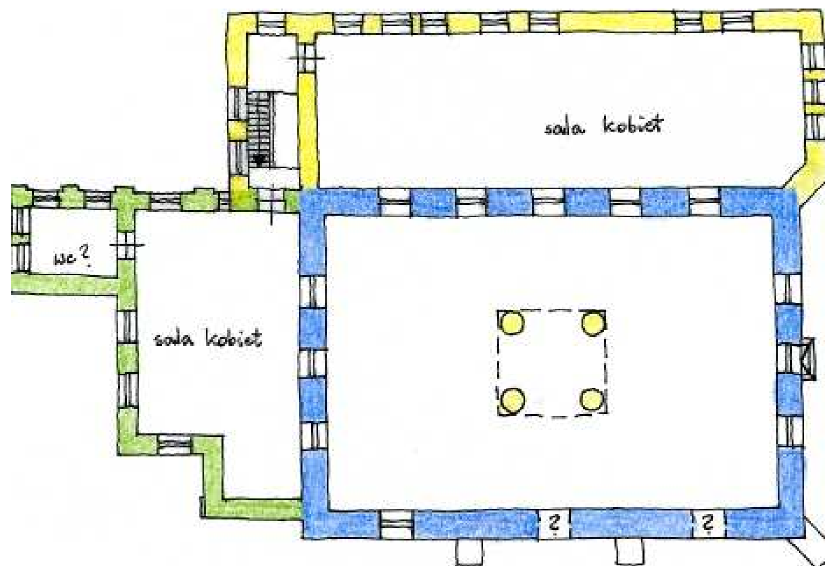
* * *

Zdjęcia fotograficzne pozwalały również zrekonstruować rzuty poszczególnych kondygnacji całej synagogi. A były to praktycznie trzy poziomy: parter, piętro i drugie piętro. Możliwe było również odtworzenie pełnego sklepienia głównej sali synagogi – wraz z jego podstawowymi zasadami dekoracji.

Wszystko pokazano na rysunku nr 2 i nr 3.

Przy czym narysowanie ostatecznych układów wszystkich rzutów było również możliwe dzięki wykorzystaniu rysunku rzutu parteru całej synagogi zamieszczonego w tekście Józefa To-



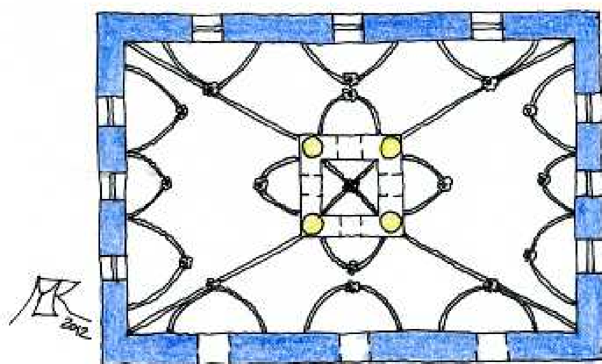


II PIĘTRO



3.

SKLEPIENIE



SYNAGOGA STARA • PRZEMYŚL • REKONSTRUKCJA WG ZDJĘĆ FOTO

masza Frazika omawiającego zabytki przemyskie w książce *„Tysiąc lat Przemyśla, część I"* (Krajowa Agencja Wydawnicza, Rzeszów 1976 rok). Rzut ten był przygotowany na podstawie inwentaryzacji wykonanej przez Przedsiębiorstwo Państwowe Pracownie Konserwacji Zabytków, oddział w Warszawie.

Inne, dalsze dane są już mojego autorstwa. Niektóre mają co prawda trochę charakter hipotetyczny, ale są bardzo prawdopodobne.

Najwięcej informacji zamieściłem na rzucie parteru. Przede wszystkim rozmieściłem ławki w części dla mężczyzn – w układzie z początku XX wieku. Z analiz wyszło, że w tej sali centralnej było 220 miejsc numerowanych (na zdjęciu widać emaliowane tabliczki z numerami siedzisk – zapewne z przełomu XIX i XX wieku, a przynajmniej sprzed 1910 roku). Poza tym wskazałem na parterze lokalizację małej synagogi, a równocześnie szkoły dla najmłodszych – czyli tak zwanej *jeshiby*. Tu także mogły odbywać się sprawy sądowe nad żydowskimi przestępcami). Podobno na dziedzińcu był pręgierz, gdzie wykonywano karę chłosty (przy drobniejszych przestępstwach). Było także więzienie. Zapewne w jednym z mniejszych pomieszczeń. Dla najwyżej kilku przestępców (sądzę, że karanych było niewielu, bo wszyscy doskonale znali się w tak małej dzielnicy żydowskiej – uwaga M. K.). Jacek Błoński lokalizował więzienie pod synagogą, ale jest to niemożliwe. Przede wszystkim budynek nie miał piwnic, a poza tym było to sprzeczne z religią żydowską.

Na parterze były jeszcze dwa przedsionki i schody na wyższe kondygnacje. Przy czym z rozmieszczenia wszystkich tych pomieszczeń wynika, że mężczyźni wchodzili do synagogi od strony Placu Rybiego (czyli od południa), a kobiety bocznym wejściem – od strony bocznej uliczki (czyli od strony zachodniej). Wskazałem również lokalizację tajemniczego portalu w ścianie zewnętrznej o wyraźnie barokowej dekoracji (przy ścianie południowo-wschodniej, po zewnętrznej stronie – rozpoznanego na zdjęciu z lat czterdziestych XX wieku – gdy budynki były już w częściowej ruinie, a zabudowa obok już nie istniała – uwaga M. K.).

Na piętrze udało się ustalić lokalizację jednej sali dla kobiet i pomieszczeń *kahału* (czyli Rady Żydowskiej – podobnie jak obecnie Rada Gminy w obecnym systemie prawnym w Polsce – uwaga M. K.). Przy czym funkcja ostatniego z opisanych pomieszczeń była prosta. Albowiem tu nie ma okien prowadzących do głównej sali modlitwy dla mężczyzn. Przy czym przypomnijmy, że synagoga w tamtych czasach była obiektem wielofunkcyjnym. Mieściła ona – poza salami modlitwy – salę sądowniczą, salę władz żydowskich i szkołę podstawową dla młodzieży męskiej (dziewczynki nie chodziły do szkoły – o ile się nie mylę).

Na kolejnym, drugim piętrze zespołu synagogalnego wskazano kolejne dwie sale dla kobiet (patrz rys. nr 3). Pamiętajmy, że kobiet i dzieci było więcej niż mężczyzn. Dlatego potrzebowały one więcej pomieszczeń. Przy ograniczeniu wiel-

kości działki, na której stała synagoga.

Na rysunku nr 3 pokazano również widok sklepienia w wersji odwróconej. To znaczy tak, jakby ktoś je oglądał leżąc na podłodze sali głównej.

* * *

Po zakończeniu rekonstrukcji podjąłem próbę rozwarstwienia parteru na fazy budowy.

Jako najstarszą część przyjąłem salę dla mężczyzn. Pamiętajmy – z przytoczonego opisu na wstępie tego tekstu – że ugoda z biskupem przemyskim dotyczyła tylko tego jednego obiektu. Na dodatek jego kształt – z zewnętrznymi skarpami – wskazuje, że pierwotnie był to budynek wolnostojący.

Potem dodano pomieszczenia od strony południowo-zachodniej, a dopiero na końcu pomieszczenia od strony północno-zachodniej. Takie rozwarstwienie wynika z wzajemnej lokalizacji poszczególnych murów i zachowanych sklepień na parterze.

Pamiętajmy przy tym, że sale modlitwy dla kobiet były dopiero budowane od II połowy XVII wieku. Zostały one dopuszczone do modlitw po słynnym najeździe Szwedów na Przemyśl – w 1656 roku, po powstaniu Chmielnickiego – z 1648 roku (ci powstańcy nie byli co prawda w Przemyślu, ale dokonali wielu spustoszeń po sąsiedzku, na terenie Ukrainy) i wojsk siedmiogrodzkich księcia Jerzego Rakoczego – z 1657 roku.

Wszystkie fazy budowy zostały pokazane graficznie w odpowiedni sposób – w wersji czarno-białej i kolorowej (niniejszy numer QL do pobrania: www.spp-krakow.org).

Przy czym pomieszczenia z fazy pośredniej mogły zmieniać swoje przeznaczenie – na przestrzeni czasu. Pierwotnie mogły być pomieszczeniami sądowymi i kahału, ale po kolejnej rozbudowie zamieniono je na pokoje dla kobiet (na wyższych kondygnacjach oczywiście).

* * *

Na rysunku parteru wskazano jeszcze jedną ważną informację. Zamieszczono orientacyjny przebieg murów obronnych miasta Przemyśla. W bliskim sąsiedztwie synagogi. Przypomnijmy, że mury te były budowane w latach siedemdziesiątych XVI wieku. Zatem około 20 lat przed zaplanowaną budową murowanej synagogi. Podejrzewam, że budowa murów obronnych zmobilizowała gminę żydowską do budowy solidniejszej synagogi. Tym bardziej, że synagoga była bardziej bezpieczna za nowo wzniesionymi murami miasta – kamiennymi lub ceglanymi.

Poprzednia, drewniana synagoga została zbudowana za murami miasta Przemyśla. Przypomnijmy, że umocnienia w formie wału i drewnianego częstokołu były w innym miejscu, bliżej Rynku. Ich istnienie potwierdziły ostatnio badania archeologiczne, przeprowadzone przed budową nowej siedziby dla Muzeum Narodowego. Budowa tej synagogi nastąpiła po zgodzie króla Zygmunta Augusta – z 1559 roku. Nie wiemy nic o jeszcze starszych synagogach – powstałej ewentualnie za czasów króla Kazimierza Wielkiego (na mocy przywileju dla Żydów Rusi Kijowskiej z 1367 roku) czy bardziej prawdopodobnie powstałej za czasów króla Władysława Jagiełły (na mocy założenia miasta w oparciu o prawo miejskie, magdeburskie dla miasta Przemyśla – z 1389 roku).

Dodajmy, że na dawnym wale miasta Żydzi wykupili teren – w 1595 roku – o wymiarach 70 łokci (czyli 40,32 metra wg miar obecnych) na 11 łokci (czyli 6,34 metra). Tam mieli zgodę – od władz Przemyśla – na budowę szpitala oraz domu dla kantora (to ten, co śpiewa pieśni religijne w synagodze) i szkolnika (to ten co uczy dzieci w *jeshibie* – czyli mówiąc inaczej: nauczyciel).

Ta sama ugoda z władzami miasta – z 1595 roku – zwalniała Żydów z utrzymywania murów obronnych koło ich domów. Oczywiście za odpowiednią odpłatnością.

Nasuwa się również podejrzenie, że na przedłużeniu wąskiej uliczki – biegnącej koło synagogi – mogła być wybudowana baszta lub basteja obronna w systemie obronnym miasta. Jej lokalizację pokazano linią przerywaną. Przy czym potwierdzenie tego mojego domniemania wymaga przeprowadzenia w przyszłości badań archeologicznych – i ewentualnie architektonicznych – tychże obwałowań miejskich. Bo zlokalizowanie w tym miejscu baszty-basteji jest logiczne ze względów urbanistycznych.

Nie rysowałem rekonstrukcji wszystkich elewacji, bo te są doskonale znane z licznych zdjęć. Jeżeli byłoby jednak takie zapotrzebowanie, to mogę wykonać stosowne rysunki. To teraz – po przeprowadzeniu wyżej pokazanej rekonstrukcji Synagogi Starej – jest już stosunkowo bardzo proste.

Jakie jeszcze inne, ciekawe informacje o tej synagodze udało się uzyskać? Zapraszam do lektury II części tego tekstu. A zapewniam, że warto !!!

Kraków, luty 2012 roku

Emil Palej

NOTATKI Z MEGO ŻYCIA

cd



Z końcem maja banderowcy napadają w nocy cichaczem w Dużej Ożomli Jana Łużnego, Stefana Łuczycę, Stefana Koralewicza, Jana Tomasza, Antoniego Nehrebeckiego, Tomasza Karbownika. Zwłoki Anny Łużnej i jej syna wrzucono do studni. Koniecznego (nie należał do rodziny zamordowanej w Drohomyślu) zamordowano wraz z całą rodziną – dziewięć osób, które schroniły się w stodole. Wszyscy zostali pomordowani nożami. Tej samej nocy zamordowano rodzinę Ukraińca Michała Hłynko – pięć osób. Hłynko, zapatrywań komunistycznych, za władzy sowieckiej był sołtysem (hołowa). Został tak zmasakrowany, że bardzo trudno było go poznać. Drużyna nie mogła brać udziału w obronie ze względu na to, że morderstwa odbywały się po cichu – bez strzału, a po drugie – wioska duża, 370 numerów, i rozrzucona. Pozostali Polacy i ludzie z rodzin polsko-ukraińskich kryli się bądź uciekali do Małej Ożomli i do folksdojczów, a za parę dni wyjechali, przy małej eskorcie Niemców, przez las 8 kilometrów do Sądowej Wiszni.

Zabudowania Antoniego Głaby (pseudonim Biały), które znajdowały się na uboczu, banderowcy spalili; sam Głaba z rodziną krył się na noc u folksdojczów, śpiąc w oborze lub stodole. Wyjechał z rodziną do matki żony, jednak po paru dniach wrócił po dwie krowy, które przy eskorcie folksdojczów przeprowadził przez las i więcej już nie wrócił. Te dane są od Antosia Głaby, który we Wrocławiu na Bielanach ma małą gospodarkę; osobiście byłem u niego, a on u mnie. Po wyjeździe Antosia i Polaków z Ożomli czwarty pluton przestał istnieć. Z Polaków pomordowanych w Ożomli to prawie wszyscy mężczyźni byli w konspiracji.

Banderowcy hulają po całym powiecie. Niemcy w ogóle nie reagują, wcale się tym nie interesują, że płoną polskie osiedla. Sam Jaworów to jakby repatriacyjny; jedni odjeżdżają na zachód, drudzy przyjeżdżają, a raczej chronią się czasowo, bo zaraz odjeżdżają przy małej eskorcie, na czym Niemcy robią interesy. Już jedna krowa za mało – trzeba dać dużo. Ratując życie uciekinierzy pozbywają się dobytku. Z samego Jaworowa niektórzy Polacy też wyjeżdżają. W tym czasie wyjeżdża pociągiem Lwów – Przemyśl, a dalej do Warszawy, z żoną i dwoma synami, Stanisław Krasicki. Zaznaczam, że pani Krasicka do ostatniej chwili pobytu w Jaworowie nie wiedziała o zamordowaniu syna Janka. Krasicki wszystko sprzedał za bezcen, odjeżdżał zupełnie załamany. W czasie pożegnania ze mną zapłakał; i mnie również w gardle dusiło, i obfite łzy pociekły. Ten człowiek – wielki patriota – można śmiało nazwać go komunistą, był oddany sercem i duszą dla Polaków. Jemu zawdzięczać należy konspirację, organizowanie samoobrony; dzięki niemu masa Polaków została przy życiu.

Nie ma już dnia, ażeby nie było przypadków cichego mordowania Polaków we wioskach, gdzie Polacy byli dużą mniejszością. Mam przed sobą listę pomordowanych Polaków w Bruchnalu,

Mużyłowicach, Szutowej i to jest to, czego zdążyłem dowiedzieć się na miejscu w Jaworowie od ocalałych ludzi i od moich podwładnych; zebrałem też dane w czasie kontaktowania się z moimi ludźmi tu w Polsce.

Ze wszystkich oddziałów Obwodu pozostała tylko już garstka w samym Jaworowie. Do Niska wyjechał mój zastępca z rodziną, wyjechał Marian Adaszyński z rodziną. Pozostał tylko oficer wywiadu Hawliczek i ja. Wysłałem tylko jeszcze może trzy razy kurierkę Elę z meldunkami o ruchach wojsk niemieckich i o mordowaniu Polaków. Z obawy o siebie nocuję w samym centrum miasta, u pozostałych tu jeszcze Polaków. W ostatnich tygodniach postanowiłem pojechać wraz z Hawliczkiem do rodziny – do Nozdrzca. Jedziemy obydwaj pociągiem Jaworów – Lwów – Przemyśl – Przeworsk – Dynów. Zabraliśmy trochę żywności. W Przeworsku Hawliczek został na noc u jakichś krewnych czy znajomych. Chciał sprzedać parę dolarów i rano miał już być w Nozdrzcu. W Przeworsku przesiadłem się do wąskotorówki na Dynów. Na stacji Bachórz do wagonu, w którym jechał z Przeworska niemiecki podoficer, wsiadło dwóch mężczyzn. Niemiec palił spokojnie papierosa; automat położył koło siebie. W tym przedziale nie było napisu „Nur für Deutsche"[1]. Obok mnie siedziała jakaś kobieta. Jeden z przybyłych mężczyzn rozglądnął się i wyszedł. Za chwilę wrócił, a za nim drugi. W ułamku sekundy wyczułem, że to napad. Pierwszy, z pistoletem, krzyknął: „Hände hoch!"[2], drugi chwycił za automat. Niemiec chciał złapać broń, ale ten drugi już ją miał w swoim ręku i powiedział: „Ruhig, Kamerad!"[3]. Chciałem wyjść, lecz jeden z nich mówi: „Siedź!". Obydwaj mężczyźni nie zauważyli na półce torby polowej zamkniętej na kłódkę, gdzie były jakieś plany i tajna poczta, pomimo tego, że sam ruchem głowy wskazywałem im tę torbę. Pociąg zatrzymał się jakieś 200 metrów od stacji, pasażerowie z tego wagonu zaczęli wychodzić, także ci dwaj mężczyźni ze zdobyczą. Zrozumiałem od razu, że to ludzie z konspiracji. Obawiałem się jednego, ażeby Niemca nie zastrzelili, ponieważ to mogło pociągnąć za sobą śmierć kilku zakładników. Po wyjściu tych dwóch Niemiec, blady jak ściana, woła (sam do siebie): „Meine Maschinenpistole!"[4].W tej chwili obydwaj mężczyźni znowu weszli i pomyślałem: „Teraz już po Niemcu", lecz ci przypomnieli sobie o pasie i zapasowych magazynkach – zabrali i mówią spokojnie do Niemca: „Auf Wiedersehen Kamerad!"[5]; i wyszli. Pociąg ruszył dalej. Widziałam przez okno jak ci dwaj zupełnie spokojnie z pistoletem Niemca poszli w pole. Chciałem z tą panią wyjść, lecz Niemiec mówi, że musimy zostać i być świadkami zajścia. Pani blada i trzęsie się ze strachu. Na następnej stacyjce stało dwóch polskich granatowych policjantów. Niemiec zawołał ich przez okno do wagonu. Policjantom kazał wylegitymować mnie i tę panią. Pokazałem swój „ausweis" i ta pani też. Niemiec kazał sobie oddać obydwie legitymacje. Policjanci jechali do następnej stacyjki. Z Dynowa, stacji docelowej, mam jeszcze 5 – 6 km do Nozdrzca (pieszo), a ta pani

---

[1] *niem*. Tylko dla Niemców
[2] *niem*. Ręce do góry!
[3] *niem*. Spokojnie, kolego!
[4] *niem*. Mój pistolet maszynowy!
[5] *niem*. Do widzenia, kolego!

w inne miejsce około 4 km na folwark, gdzie jej mąż pracował. Pani ta prosiła, że nie może w tej chwili iść z tym Niemcem, ponieważ ma kilkumiesięczne dziecko przy piersi i jak tylko je nakarmi, to z mężem przyjedzie do Dynowa (tam stała jednostka tego Niemca). Nie chciał, lecz w końcu zgodził się. Po przyjściu z Niemcem do szkoły w Dynowie weszliśmy do kancelarii, gdzie przy maszynach do pisania pracowali sami podoficerowie. Niemiec zameldował szefowi tego biura, że napadli na niego dwaj bandyci i zabrali pas i pistolet. Wszyscy pracujący zerwali się z miejsc przysłuchując się temu, a ten szef pyta, czy pocztę też zabrali, lecz Niemiec pokazał, że jest niezniszczona. Szef na to: „Gott sei Dank!"[6] i powiedział mu, że ma szczęście, bo jakby poczta przepadła, to hauptman[7] zastrzeliłby go tu na miejscu. Niemiec z pociągu pokazał mnie, że jestem świadkiem napadu, a drugi świadek przyjdzie. Kazano mi, nawet grzecznie, usiąść na krześle i czekać aż przyjdzie pan kapitan. Czekałem ze trzy godziny. Wszedł szef i powiedział, że pójdę do kapitana zeznać com widział; zapytał, czy znam język niemiecki. Odpowiedziałem, że słabo – na to jest tłumacz. Wszedłem do kapitana, ukłoniłem się, na co ten odpowiedział, kazał mi siadać, a tłumacz przekazywał pytania postawione przez kapitana, a jemu moje zeznania. W trakcie przesłuchania powiedziałem, że bandyci bardzo dobrze mówili po niemiecku, jak prawdziwi Niemcy (język niemiecki dość dobrze znam i słyszałem, jak w kancelarii mówili, że to napadli Polacy lub dezerterzy niemieccy). Zacząłem to samo mówić, że nawet mieli na sobie długie płaszcze nieprzemakalne, jakie noszą wojskowi niemieccy. To samo kapitan powiedział do szefa biura, że to mogli być dezerterzy. Udawałem, że nie rozumiem języka niemieckiego. Po pół godzinie przesłuchania poczęstował mnie papierosem, podziękował i zapytał, gdzie mieszkam. Odpowiedziałem, że w Nozdrzcu, 6 km stąd; jadę z pracy do żony i dzieci. Kapitan powiedział szefowi, że niech przenocuję tu, a rano pójdę do domu. Słyszałem jak kapitan mówił, że w nocy obok lasu jest niebezpiecznie mi iść, bo kręcą się bandy. Jak się później dowiedziałem, Niemcy właśnie tam budowali okopy i schrony, i to była ta jednostka. W tym momencie nastraszyłem się i myślałem, że mnie zamkną albo nawet mogą i zastrzelić. Ukłoniłem się i szef zaprowadził mnie na wartownię. Kazał dowódcy warty dać mi dwa koce i polecił obudzić mnie rano i wypuścić do domu. Zaprowadził mnie do jakiegoś pokoju i wyszedł mówiąc: „Gute Nacht!"[8]. Potem zaprowadzono mnie do małego pokoju, w którym były kraty i prycza. Po prostu struchlałem i od razu zorientowałem się, że jestem w areszcie. Odchodzący wartownik pokazał mi drzwi i we drzwiach klucz, że jeżeli zechcę na stronę, to tędy mogę wyjść na pole. To mnie trochę uspokoiło i po wyjściu wartownika spróbowałem, i tak faktycznie było. Do rana nie zmrużyłem oka. Jak tylko zrobiło się szaro, wstałem, oddałem koce i wartownik wypuścił mnie za bramę szkoły.

Cdn.

---

[6] *niem.* Bogu dzięki!
[7] *niem. Hauptmann* kapitan
[8] *niem.* dobranoc!



POMNIKI – Z HUMOREM I SYMPATIĄ

Przemyskie Stowarzyszenie Przyjaciół Dobrego Wojaka Szwejka jest znane naszym czytelnikom. Jest to znakomita – jak już pisaliśmy – i liczna grupa ludzi obdarzonych poczuciem humoru, których wyjątkowa pasja nie tylko znakomicie promuje Przemyśl, ale też pozwala poszerzać wiedzę o naszej historii. Jest to niewątpliwie jedyna formacja, czyniąca to tak efektownie i skutecznie.

W dniach 14-15 listopada br. Stowarzyszenie to zorganizowało rajd do 5 pomników Szwejka. Redakcja QL otrzymała obszerną relację fotograficzną z tego wydarzenia. Postanowiliśmy zapoznać naszych Czytelników właśnie z tymi pomnikami. Ale wcześniej przypomnijmy sobie nieco faktów dotyczących autora powieści pt. „Przygody Dobrego Wojaka Szwejka”, jak i samej powieści.

Red.

Przygody dobrego wojaka Szwejka

Przygody dobrego wojaka Szwejka podczas wojny światowej (Osudy dobrého vojáka Švejka za světové války) – antywojenna powieść czeskiego pisarza Jaroslava Haška, której bohaterem jest Józef Szwejk z Królewskich Vinohradów w Pradze, sprzedawca psów i pucybut porucznika Lukasza.

Historia książki

Szwejk pojawił się w humoreskach Haška już w 1911, które wydane zostały rok później jako Dobry wojak Szwejk i inne osobliwe historyjki (Dobrý voják Švejk a jiné podivné historky). Utwory te są antyaustriacką i antywojskową satyrą.

Podczas pobytu w Kijowie Hašek powrócił do stworzonego przez siebie bohatera i w 1917 został wydany Dobry wojak Szwejk w niewoli (Dobrý voják Švejk v zajetí). Krytyka Austro-Węgier jest tu ostrzejsza niż we wcześniejszych humoreskach, gdyż Hašek nie musiał się obawiać austriackiej cenzury, ponadto utwór spełniał rolę agitacyjno-polityczną jako ulotka skierowana do rodaków. Kijowska wersja przygód Szwejka jest już zarysem powieści napisanej po wojnie, znacznie się jednak jeszcze od niej różni.

W 1921 Hašek opublikował w Czechosłowacji pierwszy tom powieści Przygody dobrego wojaka Szwejka podczas wojny światowej. Pomimo popularności wśród czytelników, krytyka czeska chłodno przyjęła książkę, która doceniona została dopiero w Niemczech. Autor nie dokończył książki, gdyż pisanie czwartego tomu przerwała śmierć w 1923 roku.

Zaraz po śmierci Haška wydawca „Szwejka” zlecił kontynuację przygód praskiemu dziennikarzowi i satyrykowi, Karelowi Vańkowi. Vaniek powieść dokończył, jednak jego wkład w książkę nie zdobył szerszego uznania.

Książka a fakty

Powieść Haška jest w dużej mierze książką opartą na faktach i doświadczeniach autora i jego przyjaciół. Prawdziwe jest nie tylko tło historyczne i geograficzne oraz realia dotyczące ówczesnej Pragi. Zdecydowana większość (może nawet – wszyscy) niehistorycznych bohaterów książki miało swoje pierwowzory w rzeczywistości, nierzadko obdarzone tymi samymi nazwiskami. Można też założyć, że część anegdot występujących w powieści wydarzyła się naprawdę, a większość z nich – była gdzieś opowiedziana Haszkowi przy kuflu piwa. Zdarzało się, iż po publikacji książki jej bohaterowie kontaktowali się z autorem, by wyrazić swe pretensje, uwagi bądź podziękowanie.

Pierwowzór Szwejka

Uważa się, że Dobry Wojak jest kompilacją charakteru i przygód zarówno autora (przygody) oraz jego towarzysza broni Františka Strašlipki (charakter, szczególnie skłonności do opowiadania anegdot). Natomiast nazwisko i wygląd Szwejka Hašek wypożyczył od swego piwnego kompana Švejka Józefa Juniora – szewca i pedicurzysty, syna Švejka Józefa, który to był dozorcą domu mieszczącego m.in. słynną gospodę „U Kalicha”.

Hašek jako bohater książki

Wiele z przygód spotykających Szwejka w książce istotnie opiera się na doświadczeniach Haška (handel psami, ulubione gospody, pobyt w szpitalu dla psychicznie chorych). Jednak uznaje się, że autor najlepiej sportretował sam siebie poprzez postać jednorocznego ochotnika Marka. Dzieli on z Haškiem zarówno anarchizująco-cyniczne poglądy na świat, jak i część przygód (szczególnie bycie redaktorem Świata Zwierząt i wszystkie związane z tym przygody). Dodatkową wskazówką jest opisywanie dziejów batalionu właśnie przez Marka. Należy tu jednak dodać, że Hašek miał przyjaciela, Karela Marka, który technicznie rzecz biorąc, stanowił bezpośrednie alter ego jednorocznego ochotnika.

Ilustracje Josefa Lady

Wizerunek głównego bohatera na długie dziesięciolecia ukształtowały ilustracje w wykonaniu Josefa Lady. Dla wielu stały się wręcz nieodłączną częścią dzieła.

Pierwsze rysunki powstały po konsultacjach z Haszkiem w pierwszym zeszytowym wydaniu z 1921 roku. Natomiast te najbardziej znane cykle ilustracji Lada rysował od nowa po śmierci pisarza w latach 1923-25. Stworzył wówczas zupełnie nowy wizerunek bohatera – prostodusznego, łysego, grubego piwosza

Popularność na świecie

Opowieść o przygodach Szwejka zdobyła ogromną popularność na całym świecie – wydana została w 57 językach.

Najbardziej znany polski przekład zatytułowany Przygody dobrego wojaka Szwejka podczas wojny światowej jest autorstwa Pawła Hulki-Laskowskiego z 1931 roku. Czeskie słowo voják (oznacza po prostu „żołnierz”) w tym klasycznym tłumaczeniu przetłumaczono poprzez archaizm „wojak” odpowiadający brzmieniem oryginałowi.

W roku 1991 ukazało się tłumaczenie Józefa Waczkówa pt. Dole i niedole dzielnego żołnierza Szwejka, mające – wg tłumacza – przybliżyć ironię oryginału zamiast stworzonej przez Hulkę-Laskowskiego atmosfery dobroduszności. Jednak przekład ten nie spotkał się z uznaniem wśród wielbicieli powieści.

W roku 2009 ukazał się trzeci

przekład autorstwa Antoniego Kroha, zatytułowany Losy dobrego żołnierza Szwejka czasu wojny światowej.

Przygody Szwejka stały się podstawą wielu utworów literackich, w większości pastiszy. W latach czterdziestych w Niemczech powstała sztuka Bertolta Brechta Szwejk podczas II wojny światowej. Zaś londyńskie emigracyjne Wiadomości Polskie, Polityczne i Literackie publikowały satyryczne komentarze polityczne Wacława Solskiego „Opowieści o Szwejku”. Podobieństwem do Szwejka naznaczona jest powieść Władymira Wojnowicza Życie i niezwykłe przygody żołnierza Iwana Czonkina a nawet Paragraf 22 Josepha Hellera. Natomiast w Czechach w roku 1992 Josef Marek wydał powojenną kontynuację przygód Dobrego Wojaka w realnym socjalizmie (Osudy dobrého Švejka po druhé světové válce).

Na kanwie „Szwejka” powstało też wiele filmów. Pierwszy, autorstwa Karela Lamača, już w 1926 roku.

Najbardziej znaną do dziś jest dwuczęściowa wersja Karela Steklego z 1957 roku z Rudolfem Hrušínskim w roli tytułowej. 2 lata wcześniej powstała też animowana wersja „Przygód” w reżyserii Jirziego Trnki. W Polsce powstały w latach 90. ekranizacje telewizyjne, w których w postać Szwejka wcielił się Jerzy Stuhr.

Na całym świecie książka Haszka, która zyskała status „kultowej”, stała się też podstawą powstania tzw. ruchu szwejkologicznego – żartobliwego towarzystwa propagującego popularyzację książki i „szwejkowego” sposobu na życie. Najpopularniejszym polskim „szwejkologiem” jest dziennikarz Leszek Mazan.

W Sanoku nadano nazwę „Zaułek Józefa Szwejka” uliczce, przy której w czasach Szwejka mieścił się dom publiczny. 6 maja 2006 burmistrz Czeskich Budziejowic, prezydent miasta Przemyśla oraz prezes przemyskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Dobrego Wojaka Szwejka *(ówczesny – przyp. red.)* Jan Hołówka odsłonili uroczyście w Przemyślu tablicę z nazwą nowej ulicy „Zaułek Wojaka Szwejka”.

www.wikipedia.org





Przemyśl – członkowie Stowarzyszenia przed wyruszeniem na rajd

6 maja 2006 r. podczas Podkarpackiego Jarmarku Turystycznego odsłonięto tablicę z nazwą nowej ulicy w Przemyślu, czyli Zaułka Wojaka Szwejka. Dokonali tego wspólnie m.in. Burmistrz Czeskich Budziejowic, Prezydent Miasta Przemyśla, Prezes Przemyskiego Stowarzyszenia Przyjaciół Dobrego Wojaka Szwejka Jan Hołówka. Głośno odczytany został fragment „Przygód Dobrego Wojaka Szwejka” – oczywiście Prezydent Robert Choma czytał wersję czeską, a Burmistrz Miroslav Tetter wersję polską.





Lwów – Odwiedziny u Szwejka przy restauracji wiedeńskiej







Felsztyn (obecnie Skeliwka) – mundurowi odpoczywający przy Szwejku

W Felsztynie Józef Szwejk został aresztowany przez patrol żandarmerii polowej po tym, jak przepłoszył kąpiącego się w stawie żołnierza rosyjskiego, a następnie przebrał się w porzucony przez niego mundur. Żandarmi dołączyli go do kolumny jeńców i skierowali do Przemyśla.





Humenne – grupa przy pomniku Szwejka obok dworca kolejowego. Pomnik stoi w pobliżu studni z tzw. „żelazistą wodą”.





Sanok - *Przygody dobrego wojaka Szwejka w Sanoku upamiętnia odsłonięty w 2003 r. przez wnuka Jarosława Haszka – Richarda, aktora – ławeczkę z siedzącym na niej żołnierzem – filozofem czasów Wielkiej Wojny. Józef Szwejk zapatrzony i uśmiechnięty spokojnie „popykuje” sobie z nieodłącznej fajeczki, patrząc z dystansem na absurdy życia codziennego, które nie tak bardzo zmieniły się od czasów Franciszka Jozefa.*

Zenon Rogala



PTAK

Wolne słowo – cudny ptak,
Wytęsknionych swobód znak.
Kolorowy, śpiewający,
Nad poziomy wzlatujący,
Jeśli umie, jeśli chce.
Niskie loty znosi źle.
Fruwa wtedy nad tłumami,
Skrzeczy, znaczy odchodami.
Komu chce i kiedy chce
Pazurami karki drze.
Wolne słowo – dziki ptak,
Jak cię dziobnie – będzie znak.

Nigdy już nie poznam autorki tej przepięknej przenośni o wolności słowa. Wierszyk dostarczyła mi moja siostra, prawdopodobnie dla zachęty i w intencji rozwoju mojej literackiej przygody i fantazji, jaka zdarzyła mi się na tzw. stare lata. A autorką jest ktoś, kto na portalu internetowym w trakcie rozmowy z kimś wyraził wierszem pogląd na wolność słowa. Sam dodałbym jeszcze, że wielu jest myśliwych, którzy polują na tego ptaka i trzymają naładowane strzelby, żeby użyć ich bez wahania. Tymczasem, chcąc oddać hołd tej pięknej metaforze, napisałem do siostry:

Właśnie szukam na swym karku
Tego znaku, co w podarku
Tym nielicznym daje ptak.
I nie czuję – zły to znak.

Teraz martwię się, czy dobrze zrozumiałem i czy właściwie zareagowałem na te słowa nieznanej poetki.

Wiem, że będziesz właściwym rozjemcą.

Muszę tu dodać, że mam na myśli wszystkich, komu wpadnie do ręki, oka i serca ten tekst.

BRYDŻ



Plan jest niezwykle prosty. Jarek w odpowiednim momencie i w odpowiednim miejscu uderza samochodem w ogrodzenie. Musi zrobić to tuż po wejściu do środka willi jej właściciela, który w tym dniu przyniósł do domu wielką gotówkę, żeby złożyć ją w domowym sejfie, bo nie zdążył wpłacić jej dzisiaj w banku, gdyż Śledź - stanowczy pan w okienku – odmówił przyjęcia gotówki ze względu na awarię bankowego systemu komputerowego. Jarek musi spowodować kraksę tak udanie, aby móc wysiąść i poddać się wyrokom zbiegowiska, bo ono zaraz się zrobi. Facet z willi, Karol Bączek, właściciel kantoru, posiadacz w tym dniu wielkiej gotówki, którą przyniósł do domu, i zamierza włożyć ją do sejfu tuż po wejściu, więc jeśli już ją zdążył włożyć, zanim Jarek rąbnął w ogrodzenie, to włożył tylko na chwilę, bo zaraz ją wyjmie, więc tenże Bączek, wypada na zewnątrz, bo widzi, że jakiś pijak zniszczył mu ogrodzenie. Oględziny, mała sprzeczka, korek na drodze, sąsiedzi wokół i cały ten scenariusz, jaki normalnie samodzielnie się rozwija. W czasie kiedy koleś z willi, Karol Bączek, jest na zewnątrz, akurat traf chce, że zanim zechce zadzwonić na policję, żeby zgłosić naruszenie własności prywatnej, jak na zamówienie, jakby na interwencję osobistego anioła stróża Karola Bączka, policyjny patrol akurat jedzie tym osiedlem willowym i na natarczywe żądanie tłumu podjeżdża pod willę Bączka. Ten całkiem przypadkowy, przejeżdżający patrol policji, podjeżdżający na miejsce wypadku, to Dulka i Zraz. Będąc na miejscu zdarzenia interweniują, spisują sprawcę wypadku, który po sprawdzeniu stanu trzeźwości i stwierdzeniu dwóch promili zostaje, jako pijak, ostro potraktowany przez świadków wypadku i przy aprobacie tłumu, który akceptuje brutalność policji, zostaje wprowadzony do środka willi w celu spisania stosownych protokołów oraz dla ochrony przed tłumem, bo pijak aż prosi się o parę kuksańców od co bardziej nerwowych świadków, których coraz więcej pojawia się przed willą. Patrol, za zgodą Bączka, wchodzi do środka willi i już są razem we trójkę, i dopiero w środku Bączek przekonuje się, kogo do środka zaprosił. Więc w środku, Zraz, Dulka i Jarek zajmują się sejfem, jeśli zdążył już w nim schować te mniej więcej trzy miliony euro, a jeśli nie zdążył, to lepiej, bo są jeszcze w wielkiej teczce stojącej w salonie i wystarczy ją wynieść, a zamek szyfrowy nie będzie przeszkodą. Systemy zabezpieczenia, jakieś dźwiękowe alarmy, eksplodujące i niszczące gotówkę farby i inne cuda zabezpieczające, to specjalność Dulki, bo to on prowadzi szkolenia w zakresie stosowania ich na bankowym i kantorowym rynku. Po zabraniu gotówki – albo z sejfu, albo teczki z jeszcze nie wyjętą gotówką – cała trójka wychodzi, już bez Bączka, który przykuty do kaloryfera zostaje wewnątrz willi, żeby albo patrzeć jak wygląda jego pusty już sejf, albo pomyśleć, aby w przyszłości zbyt pochopnie nie zapraszać do domu osób nieznajomych. Nie ma też dużo do powiedzenia, bo całkiem już trzeźwy Jarek sprawnie zakleił mu usta taśmą. Patrol policji po załatwieniu formalności wychodzi z willi i odjeżdża z Jarkiem – sprawcą kraksy. Dociekliwi przedstawiciele tłumu gapiów dowiedzą się od Dulki, że po rozbity samochód przyślą ekipę swoich ludzi. Zraz, jako kierowca, na sygnale pędzi do komisariatu, czyli dokładnie w kierunku Komendy, żeby tam na parkingu zostawić pojazd dla specjalistów. Tu znajdą go po nieskutecznej blokadzie dróg, po sprawdzeniu wszystkich pojazdów policyjnych będących w ruchu, za parę dni, więc spoko, czas jest nasz. Po drodze na Komendę wysiądą Dulka i Jarek, a wieczorem, już we czwórkę, spotkają się w kaplicy cmentarnej, gdzie często Zraz i Jarek aż do wieczora pracują nad zapewnieniem warunków pobytu i ciszy już nieobecnych. Tu, dopiero po moim przyjściu, podzielimy dobra doczesne i tu w sobie tylko znanych miejscach poupychamy nadmiar gotówki, żeby nie kłuć w oczy sąsiadów nadmiernym i niespodziewanym bogactwem. Gotówki pilnować nam będą istoty, których dobra doczesne już nie interesują. A potem – jak w indywidualnych planach każdy zobowiązał się – dokładnie w trzecią rocznicę skoku spotkamy się całą czwórką, jako przypadkowi turyści, w Las Vegas. Taki męski brydżyk. Oto mój plan. A jak wyjdzie – zobaczymy jutro...

ALAGOR NONEZ



Szliśmy w tym ogłupiającym marszu noga za nogą. Miałem już tego tak serdecznie dość, że w pewnym momencie wypełniła się gorąca moja niecierpliwość. Tak jak wrzątek podnosi pokrywkę, tak moja niecierpliwość eksplodowała. Dalej już eksperymentować nie będę, w tej chwili już wiedziałem na pewno, że to, co może miało jakiś sens przed wyrażoną zgodą na ten idiotyczny eksperyment marszu do tyłu, teraz, kiedy nie tylko ja, ale inni też na pewno mają serdecznie dość tej dziwacznej, pokracznej i bezsensownej wyprawy w przeszłość. Czułem zresztą, że wszyscy idący wraz ze mną są tego samego zdania, ale nikt nie chce pokazać, że to on pierwszy ma zamiar zrezygnować z tego dziwactwa. Pomyślałem, że nawet za cenę okazania tej słabości, że nawet, jeśli poddam siebie takiej krytycznej ocenie, to w rezultacie i tak będą mi wdzięczni, że to ja miałem odwagę pierwszy powiedzieć: dość! Oczywiście, że w tej wyższości, jaką za chwilę będą mi okazywać uczestnicy tego dziwnego marszu, będzie również odrobina wdzięczności, że wyzwoliłem ich z tego stałego napięcia, czy już powinni zrezygnować, czy to oni powinni być pierwszymi i czy to ich nazwiska będą zapisane jako pierwsze, licząc oczywiście jako pierwsze od haniebnego końca. Cóż, widocznie przeliczyłem swoje możliwości, widocznie zbyt mało czasu poświęciłem tej idiotycznej dyscyplinie, nigdy wszakże nie zdarzyła się okazja, aby to ćwiczenie przyniosło jakieś określone korzyści – tak dla każdego z nas z osobna, jak tym bardziej dla naszej dziwacznej zbiorowości. Więc to będę ja i ja przejdę, a właściwie nie przejdę, a stanę do historii odpadając z tej konkurencji, jako ktoś słaby, niewytrwały, uległy, wsteczny, wręcz zacofany. Zacofany – to dobre, najlepsze określenie mego aktualnego stanu, poziomu fizycznej kondycji. Ale nie tylko fizycznej, ta jeszcze nie jest u kresu, najgorsza ta umysłowa, ta, od której wszystko zależy, przebieg tej konkurencji i tego dziwnego rozwijania pamięci, nie nawijania na walec pamięci, ale rozwijania z tego walca. Ile tej życiowej kliszy przejdzie mi pod nogami. Patrząc w dół mógłbym sądzić, że uniknę zerkania na minione, a tymczasem jest wręcz odwrotnie. Powoli, a wraz ze zwolnionym tempem marszu, klisza filmowa puszczona do tyłu wyzwala ciekawość sprawdzenia do końca i przekonania się, co tam właściwie było na samym początku, od czego to wszystko się zaczęło, co leży u podstaw, gdzie jest ten prosty sens, czy warto było, czy na coś się przydałem, ile ton piasku zdeptałem w tym marszu, ile litrów potu wylałem i ile razy powieki zamykały moje oczy i kiedy po raz ostatni. Dziwię się, że zgodziłem się na ten dziwaczny marsz, właściwie z ciekawości i potrzeby zmiany, bez namysłu zgłosiłem się do, od niedawna obowiązkowej, marszruty, marszu do tyłu czasu, żeby przyjrzeć się powoli przesuwającej się filmowej taśmie życiowego filmu.

Marsz do tyłu, czyli marsz rozpoczęty piętami. Idziesz do przodu, zaczynając marsz piętami, palce z tyłu, ale marsz do przodu. Idziesz tyłem. Dziwne.



WALKA

Od razu ci przyłożę, już zaraz przekonasz się, że mam nad tobą przewagę i to nie byle jaką. To jak w ringu, kiedy jeden pięściarz wali drugiego w pierwszej sekundzie walki i posyła zdziwionego przeciwnika na deski, tak też jest w tej chwili. Wiedz, że po prostu ode mnie zależysz od samego początku. Wiem, że może to brzmieć zuchwale i nieskromnie, ale nie dbam o to. Jest jak jest. Zależysz ode mnie, czy ci się to podoba czy nie. Nie interesuje mnie twój do tego stosunek. Mam to gdzieś. Stoisz zdziwiony i zaskoczony w narożniku, a ja walę cię, gdzie chcę. Uważaj, bo za chwilę poślę cię bezwzględnie na dechy; albo nie, nic się nie martw, wpierw pobawię się tobą jak nieporadnym i bezwolnym pieskiem.

Możesz oczywiście poddać się bez walki choćby już w tej chwili, tylko zastanów się, co ci z tego przyjdzie. Nie dość, że narazisz się na miano tchórza i lawiranta, to jeszcze nie poznasz do końca moich względem ciebie zamiarów. Lepiej już nie udawaj takiego chojraka i podporządkuj się moim warunkom. A one są bardzo proste. Masz cicho siedzieć, śledzić w pokorze to, co ja ci zaproponuję, a najwyżej potem zabierzesz głos, kiedy zostawię cię sam na sam z samym sobą. Dopiero wtedy wykorzystasz swoje prawo oceny i prawo do własnego zdania.

Teraz powiem ci coś w wielkim zaufaniu, coś, co może poprawi ci samopoczucie. Otóż mówię ci, że to właśnie ja od ciebie zależę fundamentalnie. Powiem ci, że to właśnie dla ciebie udaję wielkiego gieroja i zadziernosa. I – że właściwą przewagę nade mną to właściwie posiadasz ty i tobie podobni, dla których siedzę przed tą kartką bielusieńkiego papieru i co prawda, ważne jest dla mnie, co na niej dla ciebie nagryzmolę, ale też ważne, a może ważniejsze, co ty o tym moim bazgroleniu sądzisz.

Ta współzależność daje siłę i mnie, bo po trosze robię to dla ciebie, ale nie będę ukrywał, że ciągle pod skórą mam na myśli swój zakichany interes. Więc pamiętaj, że swoje losy kładę na twój rozkapryszony instrument wrażliwości czytelniczej, pomny jak wiele zależy od mojej, ale i twojej znajomości zasad brzmienia tej wspólnej muzyczno-literackiej symfonii. W nadziei na długą i owocną współpracę i niekończący się przekaz pokoleniowy przypomnę pewnego pana, który miał syna tak silnego, że jedną ręką mógł zatrzymać pędzący pociąg. Ale nigdy tego nie robił, no bo i po co. Pewnego razu położył się na otomanie, założył monokl na oko i rzekł: Mili państwo... i umarł. Lecz miał syna tak silnego, że jedną ręką mógł zatrzymać pędzący pociąg. Ale nigdy tego nie robił, no bo i po co. Pewnego razu położył się na otomanie, założył monokl na oko i rzekł: Mili państwo... i umarł. Lecz miał syna tak silnego, że jedną ręką mógł zatrzymać pędzący pociąg. Ale nigdy tego nie robił, no bo i po co. Pewnego razu położył się na otomanie, założył monokl na oko i rzekł: Mili państwo... i umarł. Lecz miał syna... to jest ta sztafeta pokoleń, to najsłynniejsze perpetuum mobile... czyż nie?

Michał Kozera rysuje







HUMOR ŻYDOWSKI

Religijni Żydzi słabo orientują się w kalendarzu gregoriańskim i często, chcąc komuś wytłumaczyć, którego dnia jaki fakt miał miejsce, chętnie powołują się na daty świąt religijnych, upamiętniających wielkie wydarzenia z Biblii.

Pewna Żydówka, żona bogatego chasyda, wmówiwszy sobie różne dolegliwości, zwróciła się o poradę do sławnego internisty profesora Wenkenbacha.

Po zbadaniu pacjentki lekarz pyta:

– Czy odczuwa pani jakieś dolegliwości?
– Aj, tak...
– W jakiej okolicy ciała?

Hipochondryczka wskazuje na prawy bok.

– Od dawna?
– Od Tyszebow.
– Nie rozumiem.
– Co tu jest niezrozumiałego? – dziwi się Żydówka. – Od Tyszebow.

Wenkenbach, nie bardzo orientujący się w kalendarzu świąt żydowskich, łączy się telefonicznie ze swoim byłym asystentem, docentem Herzem.

– Panie kolego, proszę mi powiedzieć, co to jest Tyszebow?
– To data zburzenia drugiej świątyni w Jerozolimie. Profesor odkłada słuchawkę i zwracając się z uśmiechem do pacjentki mówi:
– A więc odczuwa pani bóle od czasu zburzenia drugiej świątyni w Jerozolimie? Nic na to, droga pani, nie poradzę! To już choroba chroniczna...

STOWARZYSZENIE PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA
w Krakowie

Adres: ul. Ułanów 46/151, 31–455 Kraków, tel.: 124113493, 601961488, e-mail: czq@onet.pl
Rachunek bankowy: PKO BP SA. I Oddział w Krakowie, Nr konta: 76 1020 2892 0000 5002 0160 1236
Redakcja: Czesław Kudła – red. nacz., M. Frodyma. Współpraca: Z. Ostrowski, M. Kozera.

WYDAWNICTWO WEWNĘTRZNE STOWARZYSZENIA PRZYJACIÓŁ PRZEMYŚLA w KRAKOWIE

MOŻE UKAZYWAĆ SIĘ NIEREGULARNIE

Redakcja zastrzega sobie prawo adiustacji i skracania nadesłanych tekstów.
Prezentowane poglądy nie zawsze zbieżne są z poglądami redakcji.